

Adam Ziemianin

PORTRET BEZ DUSZY

Wśród letników przybyłych tego lipca do naszego domu był jeden magister czy inżynier, a może nawet właściciel dwójga tych tytułów jednocześnie. Tytułowaliśmy go jednak panem magistrzem, bo trudno nam było zwracać się do niego: panie magistrze inżynierze. Zresztą nie upierał się przy tym. Przyjechał z córką Ewą, ale bez żony, więc zastanawialiśmy się, czy jest wdowcem, rozwodnikiem, czy może tylko żona nie mogła z nim przyjechać na lotnisko.

Gestu to on nie miał, mimo że tyle tytułów przy nim było. Od razu to zauważyłem, przynosząc mu różne specjalności z miejscowego targu i to zawsze w najlepszym wydaniu: a to pachnące leśne poziomki, omszałe lasem, dorodne borówki czy kobiałkę grzybów, ale córkę miał ładną i jak się wydawało, całkiem bez tych manier magisterskich. Właściwie to nie jemu, a Ewie przynosiłem te smakołyki, więc brak gestu z jego strony wcale mnie nie raził. Dopłacałem nawet drobne pieniądze do jego zakupów, bo nie chciałem się targować z jego inżynierską naturą.

Już trzeciego dnia Ewa poczęstowała mnie jabłkiem. Było soczyste i pachnące. Zjadłem je bez strachu, ogryzek rzucając za siebie, na szczęście, jak zwyczaj nakazywał. Obok naszych nóg przesunął się cicho zaskroniec. Podziwialiśmy jego zwinność i węzowatość. Ewa, która – jak twierdziła – nigdy na wolności nie widziała węża, upewniona przeze mnie, że to nie żmija, chciała go nawet pogłaskać. Było to podczas naszego pierwszego spaceru, który mi zaproponowała. Nie znała tu nikogo, a z ojcem też nie miała ochoty zbyt długo przebywać. Nasze miasteczko na swój sposób ją fascynowało, ale okolica była jej całkiem obca, bo przebywała tu pierwszy raz. Wędrowaliśmy później jeszcze długo i szczęśliwie. Wyprowadziłem ją na górę, z której miasteczko widać było jak na dłoni. Przypominało domki z klocków i wielki plac zabaw. Odnosiło się wrażenie, jakby dziecko, które przed chwilą tu się bawiło, oderwano tylko na chwilę od zabawy. Ewa szkicowała to, co bardziej ją zachwycało.

Od tego dnia chodziłem szczęśliwy. Ona powtarzała czasem:

– Jak to dobrze, że z matką nie pojechałam! Pewnie nudziłabym się z nią i jej znajomym nad morzem. A tu jest całkiem inaczej...

Umiała zachwycać się pięknem, w każdym razie takie sprawiała wrażenie. Umiała też wspinać się o tym opowiadać, malując gorące od lipca uliczki, kapliczki i domy w Rynku. Podziwiałem jej obrazy i rysunki, a może tylko jej perfekcjonizm artystyczny.

Któregoś dnia uparła się, że namaluje mój portret, choć od razu zaznaczyła, iż ten rodzaj sztuki nie jest jej specjalnością. Broniełem się przed tym, jakby coś przeczuwając, ale w końcu pozowałem cierpliwie. Po paru dniach wreszcie ukończyła swe dzieło. Wcześniej nie wolno mi było, pod żadnym pozorem, spojrzeć na obraz. Nawet po zakończeniu pracy przekomarzała się ze mną, że mi go nie pokaże. Było w tym trochę z gry i pewnej pozy. Wreszcie uległa i zobaczyła siebie – nie siebie. Zmartwiłem się, bo na obrazie nie było mnie. Powiedziałem jej, że namalowała kogoś obcego i w dodatku bez duszy.

– A cóż ty możesz znać się na sztuce! Ty letniskowy znawco! Zabawiałam się tobą. Przecież tu jest tak strasznie nudno! Już Andrzej Bursa pisał, że ma w dupie małe miasteczka! Na szczęście za parę dni wyjeżdżam – prawie wykrzyczała.

– Naprawdę nie chciałem cię urazić! Nie wiedziałem, że tak ci na tym portrecie zależy...

– Nie chcę cię znać!

Po tym zajściu powróciła do ojca i pożyczyła sobie od niego trochę magisterskości, a może i inżynierskości, i taka już była do końca.